



412880

III Równ

Miesięcznik Literacki

listopad 1942

LISTOPAD.

1942

TRADYCJA A PRZYSZŁOŚĆ

Nie należy się dziwić, że w przedkazaających się nad wszelkie spodziewanie latach wojennych, myśl tych piszących, którzy te lata przeżywają w kraju, sięga przede wszystkim do problemów całkiem zasadniczych, ogólnych, tych jakie rzadko pojawiają się pod piórem, kiedy to pióro służy w osnowie pokoju i życia normalnego. Rozzerwany został cały bieg życia literackiego, potargana została tkanina żywotna sądów, obyczajów, osób, jednym wielkim wichrem wyssana została z płuc naszych cała atmosfera działalności kulturalnej. Jest coś wzruszającego, gdy bierze się dzisiaj do ręki ostatnie, w pierwszy, drugi dzień wojny nadchodzące jeszcze jedyną pocztą wojenną numery pism literackich, gdy czytać ich nadzieje i zabiegi zwykłe, gdy słuchać jak w szelészających i żółtych stronicech szepce wulkan, którego wielkości i potworności nikt nie przeczywał.

Są jak swobodny krok dziecko, nieświadomego przepaści, krok wiary i ufności. Dzisiaj tej ufności nie mamy za złe, chociaż drażniła zrazu. Dzisiaj widziana krwawi tylko wciąż, jak ramię ucięte, krwawi wspomnieniem ludzi i głosów, których nie usłyszymy nigdy.

Pismo tamtego czasu i tamtych prac naszych zostało przecięte, nie lekajmy się banalnego obrzu, doprawdy przecięte mieczem. I dlatego wszystkie prawie myśli nasze utraciły swoje paliwo onegdajsze. Nie ucząją się nowe książki, by móc do nich nawiązywać, nie rozkrzewiają się spory i dyskusje, by móc je inaugurować lub uczestniczyć. Nie ujawniają budzące nowych rysów przeszłości, by nad nimi przystawać i pytać o słuszność. W tym ubóstwie przynależnym pozostały nam tylko bogactwa, jakie bez podmiot codziennych przechwuje każdy - pytania o główne perspektywy duchowe naszych przeczyc, spodziewana ranowa i nie osób tyżące lecz spraw.

Lecz ramię przecięte nie zostało ramię martwym. Iś bliżej końca wojny, tym częściej nowym wzruszeniem i oczekaniem po staje w wyobraźni dzień, kiedy znów szelészczą stronicie, kiedy znów pocznie się upłatać pismo żywotności kulturalnej. Papier będzie liki i kruchy, szeregi nasze staną przerzedzone. Lecz ktoś nie pomyśla, że najczelniej bywają słowa i winnice właśnie na zgorzelisku i popiole wulkanów, i ktoś zabrani oddawać się spożyczeniu, że słow duchowy tej wojny nie wyłania się spod tej nadziei? A pociwaj bliżej nam do spełnienia tej nadziei, niżli do wspomnień przedwojennych, bliżej niepodniernie, czas przygotowywać się na ten dzień. Czas począć, snuć postaw skromny, ubogi, na jaki stać w tej dobie. Te stronicie próbują tego zadania na gruncie krakowskim, pragną być świadkami żywotności tego najbardziej dptanego i poniznego miasta.

W tych myślach zasadniczych jednym z wielu problemów, które nabrąły żywotności jest sprawa tradycji. Kwęsti stosunku do bezpośredniej tradycji międzwojennej i do tradycji lecie i stunku do tradycji dawniejszej, tej której się skusznie i już z wieku to miano należy. Problem ten w chwilach zarotów i przesłanów jest zupełnie powszedni. Zawsze w takich momentach wyłania się pytanie o prawdziwych przodków nowego pokolenia, o wyśłow i artystyczny, pytanie o następstwo humanistyczne. Jest bowiem złudzenie technicznym, by okresy i pokolenia bezpośrednio po sobie idące w czasie, tak samo bezpośrednio po sobie trwały w zjedności i rozwoju humanistycznym. Stare to i powszechne zjawisko przemienności, na ten pługającej, że a nowie tylko z pozoru idą po swych bezpośrednich poprzednikach, a właściwie bliżsi są dziadom swoim - to przekazywanie ognia stowowi tworzą niespożycie wszelkiej ewolucji. Chwył jąc nioi trzymam prz z poprzedni-

ników, ujmuje się je zazwyczaj gdzieś indziej, nie tam gdzie jeszcze znaczy się ślad i dłoń.

To powozachne zjawisko szukania nowej tradycji nabiera, smiem sądzić, dzisiaj świeżej barwy właśnie ze względu na dźwięk i znaczenie samego słowa tradycja. Warto się przeto nad tym pojęciem i jego użytkowaniem w kulturze i literaturze polskiej zastanowić nieco. Przede wszystkim dla wyrazności wywołów sprzączajmy ten problem. Przed pisarzem staje zawsze czaj dwie odmiany tradycji: jest tradycja problemowa, jest estetyczna. W danej literaturze częsty sposób stawiania i rozwiązywania lub też nie stawiania wogóle zagadnień, jest nadto tradycja artystyczna, jako pamięć o tych formach i prądach artystycznych, które w biegu historii literackiej danego kraju okazały się najspokojniejsze i poetycko. Bardzoj stałą ciągłość tradycja problemowa. Mocniejszą wahaniami ulega tradycja artystyczna, albowiem każda przemiana pisarska jest niejako, pierwszym walką o nowy wyraz. Dopiero w perspektywie czasu ta tradycja druga ukazuje swoją trwałość i ciągłość, większą, niżeli się przypuszcza. O obydwu tradycjach będziemy nowieć nie stawiając ich bynajmniej na równi, nie powiadać, że wybór jednej tradycji implikuje automatycznie wybór odpowiedniej formy drugiej. O tym ku końcowi rozważań. Narazie zgodzimy się, że my Polacy jesteśmy narodem bardzo łatwych tradycjonalistów. Szybkie obracanie w meszek tradycji spraw i osób tej patyny niegodnych jest nader pospolitą przywarą naszych odczuć kulturalnych. Wystarczy, by jakieś widowisko, czy zgola bal powtarzał się przez kilka lat z rzędu, a już staje się czynem tradycyjnym. Ow tradycyjny ślad górników, czy coś tego typu podobnie straszącego śmiesznym widnem upiorka starej ciotki z lat międzywojennych.

Ten tradycjonalizm bowiem, to czeligodne i niekontrolowane zanurzanie w nadający omaszłość sok przeszłości odpowiada kilku bardzo pospolitym nakłonom naszego charakteru, a w konsekwencji cechom naszej ewolucji humanistycznej. Pierwsze to, że ten przepieszny tradycjonalizm świetnie się godzi z naszym konserwatywnym intelektualnym. Mnie jest krajów, w których by wszelkie pragnienia, zwłaszcza artystyczne ochonywały się tak opornie i z takim opoznieniem, a natomiast tak chwalebnie wzdragały się raz zwyciężywszy przed jakąkolwiek rewizją. Droga od rewolucjonizmu artystycznego do legitylizmu, bo, do narzenia dynastycznych jest u nas niezwykle krótka. Stąd powszechne spóźnienie, stąd dobieganie do europejskiego szeregu. By jod n tylko wziąć przykład, świeżego chowu: nasz futurizm czy formalizm, gdzieindziej gotów przed rokien 1914, a nas wiadomo kiedy. Bo kiedy w świecie już dojrzała i otrzymała głos ci następcy symbolizmu, a nas nastrojowość modernistyczna była jeszcze prawem. Płynny w polskiej butli artystycznej jako kiedy burzą się w niej, dopiero historia musi nimi potrząsnąć lub zgola butlę rozbić.

Ten tradycjonalizm i konserwatyzm duchowy styka się bowiem blisko, wynika w miarę pewnej z naszej i dalszej wrażliwości osobistej, a poczucie nietykalności drażliwości i szybko zastępczącego w zdobitych formach. Konserwatyzm jest tylko przystrojeniem w obiektywne piórka posypane prochem przeszłości górującego przekonanie - noli tangere personam meam. Często uciwam, podejrzanie, obserwując pisarzy i artystów naszych, kiedy się już wybił i bogą narzucać swoją nietykalność, że zryłyby się na własciwie jakieś Skolka, czy inne grobowisko zasłutonych, gdzie możnaby już za życia leżeć, być okradzonym i tradycyjnym, ale z grobowca książki wypuszczać w smugach kadzideł i mirry. A publiczność sama, aby się trudu również chętnie za życia do takich grobowców wkłada. Przykład Wyspiański.

Oul tej wycieczki też ku końcowi rozważań będzie jawniejszy. Ten bowiem jest naturalnie w wielkim skrócie schematycznym, polski nałógowy i nawykowy tradycjonalizm artystyczny. Tym oporniej p dawał się on przemianom, że na przestrzeni całej literatury przezbirowej wątek problemowy przebiegał pod nim jeden i ten sam, unosił i jad tym samym naturalne ciążenie ku skostnieniu poetyckiemu. Dopiero odzyskanie niepodległości sprzegło ze sobą możliwość innego spojrzenia na te obydwie formy tradycji. Do naturalnej w każdym pokoleniu chęci nowości artystycznej moment historyczny dołączył wówczas to, iż wydać się mogło, że tradycja problemowa znalazła narazie swoje ujście i miejsce na świecie, a tradycja artystyczna straciła swój strażnik i eglarza.

Wobec tego niegodzi się przystawiać do niego, że narodził się
piśmiennictwo polskie, z którego wzięły się wszystkie sztuki i spójność
na, ono, wolne od prozodycznych zakwitań, światłością czysto ar-
tystyczną, swobodną i europejską. Nie tylko wydziki tę nadzieję głoszą,
głoszą ją Żeromski.

Istotnie, z wielu zapowiedzi dwudziestolecia ta jedna została dokona-
na. Tradycyjny nurt zainteresowań pisarskich, ten górujący u nas bez
wzglądu na epokę praktyczną i narodowy i społeczny został w większości
zarzucony. Pisarze osiągnęli swobodę wyrazu, jaką mało, który okres na-
szego piśmiennictwa miał. Osiągnęli aż do granicy wybuchu i poza
tę granicę. Dzisiaj tych lat dwadzieścia jest już przeszłością i hi-
storią. Tradycja problemowa i artystyczna tego okresu stoi już przed
nami i czasu. Przed nami zaś, którzy w drugiej Rzeczypospolitej prawni
wielu mamy iść pierwsi, wchodzi się dawni, ku skądś pasterzkiej znie-
rżająca, tradycja problemowa, naprzeciw niej staje ta ostatnia i wyz-
wolona tradycja. Mamy dokonać wyboru. Ktoś nie zawaha się, ktoś nie na-
mysli po dwukroć, nim do sądu przystąpi.

Rozpoznamy od twierdzenia niewątpliwego. Tradycja problemowa dwudzie-
stolecia nie budzi w nikim antypatii. "Międzywojenne dwadzieściolecie
nie rozwiązało żadnego z problemów, ukazanych przez najlepsze polskie
dłuski i pióra. Pytanie, które stały przed Mickiewiczem, Słowackim,
Norwidem, stoją dziś przed nami, w zachwionej nieco formie, ale o niez-
mienionej istocie. Wydaje się, że poczucie ciągłości naszej kultury
jest dzisiaj o wiele żywsze niż w roku 1918, kiedy załamała się pod-
łość przedstawiła się ludziom jako próg, dzielący raz na zawsze od
ludzi wielki i od dzieł, które były tej wielkości przegwał. Rzeczy-
wistość wskazała, że wszelkie takie prógi i przełomy w życiu narodu
są rzeczą wielce pozorną i że nie da się uinąć pewnych zagadnień,
przewijających się czerwoną nicią poprzez karty naszych dzieł, je-
żeli nie chce się wpaść w złudny spokój i ukojenie naczestwowym fra-
zesem."

To nie moje słowa. Powtarza je jeden z rzadkich sądów, napisany pod oku-
pacją, który zdawał się nie dojsć. Cytuję, albowiem doskonałe zdania to
ujmują niechęć i opór, powstający w nas, kiedy myślimy o tej stronie
piśmiennictwa pierwszej Rzeczypospolitej. Bez żalu i bez poczucia, że
krzywdzimy, sięgamy wstecz, przed to dwadzieściolecie, do zagadnień, które
wszystkim pokoleniom literackim porozbiorowym były wspólne i wią-
zały je mocno, różnie. Wielki problematyka okresu romantycznego, pozy-
tywistycznego i neoromantycznego jest nadal aktualna, nie czujemy
zblasknięcia głozonego przez dwadzieściolecie.

Kosztom tej niewątpliwą prawdy g. t. we się jednak rozkrzewić różne
pół i ćwierć prawdy i czki lub zgola fałszy. Wstępuje w sferę, której
przystąpiłby patetyczna nazwa sfery prawdy. Jednakże tak jest: pe-
wien, że wszystkie obawy, z których natychmiast, pojawia się zaraz po
wznie, że nie czuję w tych zdaniach nie profetycznego. Chyba, że logika
znajomości błędów pospolitych być może profetyczną.

Wystarczy bowiem rzec u nas słowo o tradycję problemową w jej dosłown-
nie tradycyjnym, powszechnym rozumieniu, by od razu na grzbiecie tej
tradycji wjeżdżały nieprzebrane wszystkie skrajności nęgi konserwa-
tyzmu artystycznego. Bł. skoro wchodzić pytać o sens i o wielkość, to
dalejże patetyczna formalistyczna. A. L. Wypłaniaki, dalejże powtórka o
pigońska, rozgrzeszeń, że pan z piór i znów ze milionów i tak dalej.
Bł. skoro naród cierpi, dalejże słusznie i ogólnie cierpiętnictwo li-
ryczne, dalejże pożyje patetycznego frazesu. Wszystkie stare apłory,
zaraz na chwilę i ozdobny gotowi wkroczyć tu i tam.

I dlatego a samego pręgu wypada wyrażać oprócz, a natychmiast odpo-
dzić. Niech nikt nie wyobrazi sobie, że skoro tradycję, problemową, to
zaraz po wojnie będzie wyzyskiwał nad plemię polskie tego czasu, że
pamięć tego, wszem, wszem, nie naród pragnie nowego Sienkiewicz. Naród
chce być skrzepiony i dążyć do z Złotą w i brągu, Narwiku i
raz wie. Ponieważ obecnie żołnierz polski też przechodził wiele
przygód. Niech nikt nie czai się, że najprawdopodobniej kontynuacja
tej tradycji także się okazie piśmiennictwo a także od popularnego bu-
dowania i krzepienia, dalsze od optywizmu, szarpacie i trudno do przy-
jęcia. Niechaj też nikt nie powie, że Or-Ot i Słomskiego i proweni-
wajskowej naród potrzebuje, a nie jakichś tam szukanie nowego obrazu-

nia, albowiem stać się może, że niestety potworność tych apokaliptycznych przejść ku wszystkiemu się nadaje, ale nie ku nutkom Dantego w grywanego na fujarce, jak takie odmianki łatwego liryzmu nazywał Norwid.

Niechaj bowiem, i to jest niechaj najważniejsze, pamiętamy wszyscy, że właśnie gotowość sąsiedztwa duchowego z wielką problematyką nakłada najwyższe obowiązki artystyczne. I właśnie dlatego bacznie się będzie patrzeć na palce, ażeby nie było fałszerstw kosztów wielkich zagadnień i wielkich słów. Nie wolno ględzić na Synaju. O Przybyszewskim takie słowa rzekł niegdyś Tadeusz Żelazński. Te słowa wypadły nie przed oczyma, myśląc o bliskiej już przyszłości, kiedy będziemy mogli konkretnie w utworach i pracach dać świadectwo, ile z nowego stosunku do tradycji jest prawdą już spełnioną.

Ciężkość problemowa drugiej Rzeczypospolitej nie będzie wynikać z tradycji międzywojennego 20-lecia. To pewne. Lecz jak będą stawiane dawne zagadnienia stosunku między siłą moralną a siłą realną ojczyzny, pomiędzy prawdą a wolnością, między odpowiedzialnością a swobodą, tego nie przewidujemy i nie narzucamy. Wystarczy gotowość podjęcia tych kwestii, a jeśli ona nie jest wniowieniem, lecz prawdą domagającą się głosu natychmiastowego, przyjdą odpowiedzi twórcze.

Przewidyujemy natomiast i narzucamy już teraz, jak te problemy nie będą mogły być rozwiązywane a raczej omijane artystycznie. Żaden automatyczny tradycjonalizm, o który u nas tak łatwo. Przypominam antytradycyjny wypadek, tutaj jego miejsce drugie. Nie będzie odrodzenia symbolizmu i nastrojowości, choć w tej powłoce tyle prawd spoczywa, nie będzie jakichś zewnętrznych skłonów i nawrotów ku romantyzmowi, chociaż tam jest tych prawd najwięcej. Tym bardziej nie należy się spodziewać, by ten poetycki nadeś teraz mogły dwie zasadnicze formacje stylowe 20-lecia: formacja awangardy i formacja skamandrycka. Dlatego to wypominanie ostatnie, ponieważ nie brakuje już dzisiaj ludzi, dla których w ten tradycyjnie polski sposób te obydwie formacje obrosły przesadliwą nietykalością i wyłączością.

Tradycja artystyczna tych lat przyszłych zostanie dopiero stworzona. Jej kamienie węgielne i zarys całości przeświecają już teraz. Wskazują je krótko, licząc, że przy innej sposobności ta krótka zapowiedź zostanie umocniona dowodami. Zarys całości jest ten, że nie należy się spodziewać stylu jednolitego, zagarniającego wszystkie formy pisarskie, jak był nim symbolizm. Kamienie fundamentalne są zaś dwa: personalizm jako wspólne łóżysko odrębnego w swoim wyglądzie stylu prozy, odrębnego poezji. Klasycyzm jako dbałość o prawa wewnętrzne formy i ich czystość oraz jako nakaz prostoty.

Opis dokładniejszy tego mostu w przyszłość kiedyś nadziejemy. Lecz nadzieję, że po tym moście poprowadzimy tradycję problemową ku dniom oczekujących nas prac, już teraz. Tradycja bowiem tylko wówczas otwiera bramy przyszłości, kiedy staje się zadaniem własnym, a w kształcie zadania dzieło pragniemy i tradycję i przyszłość naszą.

NADZIEJE NA EMIGRACJĘ

Nieraz w przewidywaniach literackich napotkać dziś można zdanie, że po ukończonej wojnie niewiele twórczego dorobku wniesie udareczony i zajęty okrutną walką codzienną kraj, a jedynie emigracja wytupająca w całkiem odmiennych warunkach będzie w stanie przeżyć następnych lat dać prawdziwy wyrz. Osoby wygłaszające taki sąd popierają go dowodem, że tylko emigracja żyje w ludzkich i umożliwiających swobodę twórczą warunkach, że jedynie ona posiada perspektywę i horyzonty jakich nie może osiągnąć zdeprawiony kraj; krótko mówiąc - ex emigratione lux.

Podobne przekonanie jest jednakże całkowicie błędne i złudne, a opiera się na kilku fałszywych analogiach i wniowieniach, które próbują podważyć i zdemaskować. Główną analogią jest tutaj zestawienie z wielką emigracją po powstaniu listopadowym. Z pozoru sytuacja jest podobna: dzisiaj, jak wówczas, literaturze w kraju nałożony został kamień. Podobnie jak wówczas, znakomici pisarze udali się na emigrację i tam, w europejskiej swobodzie i kulturze, zdala od barbarzyńskiego

mejsku, stworzyli najwspanialsze dzieła polskiego piśmiennictwa. Bardzo to kusząca analogia, ale całkowicie zawodna. A dlatego: po 1-sze bynajmniej nie powtarza się sytuacja, jakoby najznakomitsi poszli w świat i tam tworzyli arcydzieła, a w kraju pozostała jedynie niegodna uwagi reszta. Nie powtarza się przede wszystkim dlatego, że faktu przymusowego milczenia i niemożności wydawania, na jaki zostaliśmy w kraju skazani, nie należy mieszać z milczeniem wewnętrznym. To że pisarz nie może drukować odrazu, nie znaczy, by nie mógł tworzyć. Tylko artykuł dziennikarski traci natychmiast smak, jeśli nie ujrzy druku, dzieło literackie prawdziwe nie wietrzeje tak szybko, lub przynajmniej wietrzeć nie powinno. Raczej w kraju pozostali twórcy tej samej wartości, jak ci co na emigrację poszli, a jeśli o nich cicho, nie znaczy to, ażeby w nich było cicho. To jedno. Powtóre emigracja dzisiejsza posiada całkiem inny charakter aniżeli wielka emigracja. Z dzisiejszej emigracji, piszący to bez złości i bez insynuacji, chodziło w większości wypadków o to, by ucieść i ocalić swoje głowy. Powtarzam z całym naciskiem, że nikomu nie mamy za złe takiego postępowania, powtarzam, że prosto obowiązkiem społecznym pisarza jest dzisiaj przechować swoją umiętność, nie wystawiając ich na zniszczenie, ale z takiego charakteru dzisiejszej emigracji musimy sobie jasno zdawać sprawę, jak i z tego, że bardzo to zabarwi jej wyraz przyszły. Nie można mianowicie twierdzić, że tylko ci którzy poszli na emigrację unieśli z sobą cały zasób ideałości, zasób odpowiedzialności moralnej i pisarskiej, że tylko oni wyciągnęli wszystkie i ostateczne wnioski z klęski kraju i oni je zamienią na piękno pisarskie. Tak było po roku 1831, tak nie jest dzisiaj. Twierdzenie zaś, że tak jest dzisiaj i budowanie na nim nadziei, stoi w jaskrawej sprzeczności z faktami. Na emigrację poszli pisarze albo już w ciągu kampanii wrześniowej, poniesieni pędem powszechnej ucieczki, albo nawet jeszcze wcześniej. Cóż to znaczy? Znaczy zasadniczo a prostą rzecz: że poszli na emigrację ubożsi o ten cały zapas przemyśleń, doświadczeń, trwóg i nauk, jaki nam pozostał w kraju nim nie opuszczył już rok okupacji. Kwestywnie wstrząsać byk wrzesień pamięć i wiele z tych, co poszło na emigrację zaznało tego wstrząsa. Było to jednak zaledwie wyrwanie ze snu polskiego 20-lecia, brutalne szarpnięcie, za które, ale jeszcze nie i e n a u k a. Ta nauka stała się dopiero lata okupacji, czasy cierpień i zła rozpętanego pod polskim niebem, czasy grozy ongiś rozciągnięte swoją miarą i niesamowitością na żywoty całych pokoleń, dzisiaj skondensowane, ściśnięte do tych niewielu lat, niewielu w rachubie, w doświadczeniu równych próbom całych pokoleń. O tę naukę ubożsi są pisarze na emigracji. Nie mamy im tego za złe, a o tę naukę nie czynimy im z tego zarzutu, śmiałością byłoby takie postępowanie, podobnie jak nieprawą pychę byłoby sadzenie się na koturn tych, którzy w kraju pozostali. Powiadamy prosto: tak los podzielił egzystencję pisarzy polskich, że jedni to doświadczenie przechodzą z całym nacięciem, inni tylko z daleka. Więcej, jako ludzkom, jako indywidualnościom, rzecz nam nie wolno pod karą pychy. Co innego, jeżeli mowa o skutkach tego podziału. Ktoś kto istotnie, to dla których spodziewamy się wyrazu literackiego myślowego, przeżycia zbiorowości narodowej przechodził z odległości ten nie będzie w możności ukształtować ich literacko. Polityk, dziennikarz, nawet publicysta może rozprawić na odległość. Pisarz nigdy. Sztuka pisarska żyje konkretnością, codzienną atmosferą, klimatem dnia poprzedniego, żyje zdarzeniami tragicznymi wśród ludzi, których się znało, z którymi się obcowano, żyje tą całą ruchliwą, niedociekłą, niemożliwą do teoretycznego przekazania, jawną tylko w nacownym przeżyciu rzeczywistością. Z miąższu tej rzeczywistości powstają dopiero problemy pisarskie jako jego sok i ekstrakt, lecz nie wyciśnięcie tego soku nikt, komu nie jest dostępny cała cierpkość i gorycz owocu. Nie bardziej niemożliwego jak dalekie cierpienie. Wszak i pisarze tamtej, wielkiej emigracji, kiedy cierpienie wnosił do dzieła jako temat, nie byli w stanie sięgnąć do tego, co się współcześnie dzieło w krajach, które nie miały pojęcia o filomatów, jakżeż sztucznie i daleko włączyć do dzieła, waciwki po przyczyny własnej absencji i walczyć z nim po to, co przechodził do stałownych z wyrazu...

Argumentów kruszących złudne nadzieje na emigrację dałoby się jeszcze więcej przywieść. Przypomnę tylko jeden. Mickiewicz idący na emigrację był już Mickiewiczem twórcą Dziadów i Wallenroda, Mochnacki był już Mochnackim. Emigracja pogłębiła tylko i utragicznika zerody mieszczańską się w duszach tej generacji romantycznej. Jesteśmy z dużym uznaniem dla muzy skamandrytów, stanowiącej, według jakości patrząc, trzon dzisiejszej emigracji, ale nie sądzimy, żeby skrywał się pomiędzy nami nowy Mickiewicz czy Mochnacki, a tylko naszym niedoskonałym oczom był on w latach przedwojennych niedostępny. A jeśli na podobieństwo Słowackiego i Krasińskiego, których dopiero wstrząs emigracyjny powstaniowy uczynił genialnymi poetami, wyrastają ich następcy gdzieś w Londynie czy w Nowym Yorku, wśród młodych i nieznanych, przyjmieni ich radośnie i z otwartymi ramionami. Jak dotąd nie słyszeliśmy o nich wcale. Prywatnie zaś mówiąc, to znaczy bez argumentów i na domysł, nie spodziewamy się usłyszeć.

Tak więc wielkie nadzieje na emigrację najlepiej odłożyć na czas powojenny. Ona przyjadą ze swymi już wydrukowanymi książkami, my szybko wydrukujemy swoje. Przeczytamy, porównamy. Resztę dopowie przyszłość. Prywatnie zaś mówiąc, sądu tego jesteśmy spokojni i co w naszej jest możliwości, czynimy, by czas próby i doświadczenia nie został w kraju zmarnowany.

ODA DO WARSZAWY.

Mówią, że nie jesteś stolicą
Warszawo!

jako inne tonące w blasku -
grodzio mazowieckich Piastów - i piasków,
szare gniazdo tłumu ludzi szarych,
że nie będziesz nigdy piękną jak Paryż,
ani można jak Praga nad Wełtawą...

Lecz ja kocham cię jaką jesteś - biedną
Warszawo!

bohaterze w szerniałych opoletach,
któremu wszystko jest jedno
czy się w boju szych szlifów zetrze...
Idę i z dumą w piersi wciągam twe powietrze
szumiące wiosną, wolnością i sławą,
bruk twój pod moją stopą dzweczy jak złota moneta
nie jak haskami fałszowany metal,
co się podnosi frazesów kurzawą
i z megafonów płynąc - krzykiem lén! jaskrawo...

Idą przechodnie - w lewo, w prawo -
mijają się, ku różnym podążają stronom,
ciągną za sobą pasma szych myśli, Warszawo,
myśli, co wszystkie barwą twej odwagi płoną -
suną pędzące auta po mokrym asfalcie
gdzie każdy przejazd znaczy swą matową pręgę -
biegną tam i napowrót - nawspak - znów inaczej -
migające członka niecierpliwych tkaczy
snujących na szych krosnach niewidzialną wstęgę
Krzyża Walecznych, którym cię Bó chce odznaczyć!

Tak zaprawdę nie jesteś stolicą
Warszawo!

jako inne bogatą i sytą,
rozpartą na gmachach i kolumnach -
światego jest niezależna i dumna,
nie mierzysz, nie handlujesz nie oceniasz,
nie czuwasz nad twym złotem jak nad świętym zniczem,
lecz jak prosta dziewczyna w szacie robotniczej,
wdychając w młode nozdrza powiew pól szerokich
idziesz śmiało naprzeciw swego przeznaczenia...
Wytworne piękno stahisławowskiej epoki
zarzuciłaś sobie lekko na szyję

jak wielobarwny szalik -
jeżeli go wiatr zerwie - krzykniesz - ale cię to nie zabije,
pójdiesz dalej...

Bibi Jag.

Tak zaprawdę nie jesteś stolicą
Warszawo!

Jesteś domem rodzinnym, którym się serca szczycą,
ziemią, co krwią nasiąkła i którą duch buntu przemierzył
w bozpaczy głuchej -

Jesteś domem rodzinnym, nawiedzany nocami przez duchy
i duchom wierzysz -

tym, co kryształowymi cię poświęcili słowami,
tym, co poszli za sławą, chociaż jej głos ich omamił
i temu, który niema pośród nas pomnika,

bo pamięcią jest z nami, strzeże swego dziecka,
przechodzi po ogrodach w burzliwych poswistach,

pochyla się nad biurkiem swojego ministra

i na tym słowie "Honor", na którym ongiś karta się zamknęła
na nowo księgę przyszłych dni odmyka...

Więc taką, jak cię widzę, kocham cię Warszawo!
w niebezpieczeństwie bliskim

szumiąc wiosną, wolnością i sławą -

jak armata poliskiem

naładowana jedną myślą, jedną sprawą...

Noc majowa nad tobą swój namiot rozpala -

Słyszę jak szum twój wzbiera, napelnia jej ciszę,

czuję, iż się w ciemnościach jak okręt kołyszysz,

okręt, co jeszcze w porcie się chwila na falach

i długim rzędem świateł swą obecność znaczy,

gotów jutro wyruszyć na wody przeznaczeń...

maj 1939

DZIEŃ POWROTU.

To nie jest sen, bo dłonią kształt wywodzę.

Oto świat nieostygły jakby w dniu stworzenia,

a jednak jest, jest, bo po tej nocy

czuję go jakby rzeźbę ukrytą w kamieniu

obnażyć wzrok.

I co... i jeszcze wciąż tabory płyną

w cynkowym świetle, a gdy wiatr odtroczy

te smolne płachty i nad koleciną

błyszczą twarze poległych... Na zamknięte oczy

wrześniowych liści czy ptaków girlandy,

i tak się tłoczą w mrok - nim zginą

z ognia, czasu, pamięci kurtyna.

Ledwie świt, już w oparach zbudzały się rzeki

i miastem dłonią chłodną przetrząsły powieki.

Popatrz, błotkie dymy w ten poranek świeży

wieniec dachy, a jakieś płomienie słowiańskie

palcem stukają w mury. Został z gr blizny

watają sady, ocierają liścionym

ociane splekna

na której krucyfaks zaciénia.

Znasz to leżatanie skora? Znow się w ziemię

wypoczętą pograża motyka i łamiesz.

I ręka ręki dotyka nieśmiało,

a z miłością, Tylko tyłu nas zostało

po potopie i liza spływa

grając tęczę po twarzy - przez skórną przedziwa.

Zanim promień zotnie
tę ranną małą, słyszysz jak arkady grają
żelaza mostów i tramwajów fletnie
zawodzą na zakrętach. Już ucho odczyta
pierwszy głos nowych czasów
w kamiennych korytach.

Jeszcze daleko dudnią tamte wozy
ze zbiorem śmierci. Tu kółko bakowe
w jarze, narzuca welon spieniony na głowę
i mieląc sypląc ziarno młyn znów gada
maczając bazie kozy
w sianych wodospadach.

Już było pierwsze garzda traw wykosa.
Wiatr powiał.
Strumień zaświecił, zmatowił
i słońce kruche lustro
w świeże ślady wprawia.
Patrz - Spijając wilgoć trąbką, już za chwilę
jak jaskminy strząśnięte chmurami motyle
zawirają.

A my... A my... Cichnie głos.

Wraca nasza kolumna wśród pól urodzajnych,
czarne obozowiska, jakiś sad rozstajny
gdzie w trawie, w rosach chłodnych
gwiżdżąc tarza się kos.

Ręka do broni nawykła obejmuje kwiat,
już kwitną lufy, hełmy zsunięte - po twarzach
blask i cienie obłoków... To tak nas rozmarza
wiosenny wiatr.

Piękna. Po trzykroć piękno, czemu nie wybiegasz?
Wzdłuż drogi, ileż od ludzi wytrwalsze
drzewa strzaskane w kwitnących szeregach,
gromady mogił
- witają.

To tak.

Idziemy i idziemy jak wspomnienie złe,
to jakby chmura niska, co na progu lata
żółtą gałąź błyskawic w szaloną deszczu wplata,
i gradów przesypuje szklistych żwirowiska.

Jednaki krok. Jednaki głos.

Mieszkańcy patrzą. Lęk po czołach chodzi,
co trzeba dać, jak dźwelić, by ich ułagodzić
tych synów snu.

A my pragniemy tylko kochać.

Przed nami małość ludzkich rzeczy
wrogim szumi językiem. Synowie otchłani
którym dzień wywalczony, krwią obmyty przeczy,
jesteśmy tym powrotem, jeszcze raz wygnani.

Aż nagle stajemy milcząc. Bo w moczarze,
przez szuwar wlokąc blaski, cyranek po parze
ściele gniazda. Ton drzenie i ryb, srebrnych wirów
koliska. Kaczor stoi na straży i głową z szafiru
kręci czujnie, śledząc okrągłym okiem profil lisa
księżycy - który rudy nad olszyną wisi.

I odchodzimy na bok. Broni złożona, szosa.
Trafieni w piersi ciszą, ciszą którą znamy,
padamy w trawy i w pachnących włosach
pogodzeni na zawsze z ojczyzną - szlochamy.

Jeszcze ustawa już dekoracje. Dnia przetrzy, w linijace, w
mnie a waz miły się z kalendarza jak pękający owoc k szt. na. M. do
przebiegło zwolna wygląd dostojnego mieszczanina, któremu waga i
dona i lito trosz nakazywały przybrać ekscentryczny płaszcz. W szarych
szronach widać się w zachodzącym słońcu, woda popołudniowego niebo.
Złoty słońce i się do okien i potem spływały w obumierającą ciemność.
Złoty słońce za miastem, zęba i się do okien i potem spływały w obumierającą ciemność.
Stkich szczelin wśród ulic białą i się do okien i potem spływały w obumierającą ciemność.

me zdołali, jej odebrać. Przed szósty... Ulica
Krzakowska stanowiła jeden z najgłówniejszych...
w mieście, przez po stanc...
nikac, jnych między Rzeszą...
otwier-ła dostęp do dzielnicy...
miasta w klanrze wojsk powstanczych, a było d...
miesca.

Posłancy dobrze pochołeni w domach oczekali na dalsze roz-
zysk. Zdobycie barykady drogę kosztowało, ale zato gdy się spojrzeli do
tyłu, idąc drugą, polską ulicą. Wylot ulicy, napełnił rozbita barykada z
kami nieprzyjaciela i swoich, płac i śmiech. Złazili ich od wrota
tego w kłuczeniach ze skanerem.

Porucznik Antoni nieznacznie wychylił z okna głowę, przez lornetkę płoc. To on rozkazał zamalować balkon, aby się zorientować, gdzie jest największe natężenie ognia nieprzyj. cieli. Ale z chwilą kiedy karabin milicyj jeden po drugim zaczął nę strzelać, zakrył twarz rękami, robiąc to samo. Zapomnieli spokoj, tylko od czasu do czasu ktoś krzyknął pojedynczo: pociągnęło k. rabiną. Wtedy poszli do obrotu i obracając się na zamek. Z boczno dochodziły z jadalni pogłoski strzelnic, przyciszone i łezionym w wąskiej ulicy hukem gran. tów. Milicjannych Niemców, iło się na jezoni, kulunastu na trę naki ch.

[illegible]

- O, panowie macie ten sam problem co ja...
- O, panowie - śmiecha się porucznik Inna.

Z okien po drugiej stronie ulicy, znaki ręką. To kolega porucznik Jan. Trzyma rewolwer a ręką wskazuje Niemców. Antoni przykłada rękę do ust i krzyczy :

- Przygotować ludzi do natarcia !

Porucznik Jan rozumie, później wskazuje jeszcze na plac i chwyta się za głowę. Prawie wychylony odkrzykuje podkreślając ostatni wyraz.

- To prawie napewno śmierć.

Antoni klnie i woła, starając się przekrzyczyć kulkami kul .

- Przestań myśleć .

Robi się mrocznie. Teraz już parę karabinów zasypa ulicę. Nie może być mowy o przebiegnięciu w poprzek. Porucznik Antoni z pełną powagą i dystynkcją ma przyszytymi do cywilnego ubrania przechołty na karabiny. Dłapie na schodach swojego łącznika, młodego chłopca w niemieckim hełmie z wyrysowanym na nim kreślarzem.

- Nakazać tym z Lenartowicza na pierwsze próby naszego natarcia dotrzeć do ulicy Sienkiewicza. Za wszelką cenę . Chce wrócić do pokoju, ale tu już jest niebezpiecznie. Rekoszetowa kula odbija o róg szafy i grzęźnie w wiszącym ręczniku. Zbiega. Na półpiętrze w sieni siedzą po stancy. Porucznik ma jak haragan. Na dole wrzeszczą :

- Podoficerowie do mnie !

Przylatuje trzech, usmarowanych, wycofanych gdzieś ze strachu i pianie.

- Gdzie Pisula, szuka czwartego, którego mu przetrzepali komendanci powstanczy. Z. chwałę nadbiega kapral, ale inny. Pluton Pisuli dostał kulę w czoło i spadł jak żywy pod ścianą, tylko że nigdy nie przemógł, ani poruszył ręką.

- Musimy być gotowi. Pójdziem, do dzielnic niemieckiej. Postrzelona rękiet. d. wam o tym zn.ć. - Podoficerowie patrzą długo w powietrze czy porucznika i rozchochają się na brzmiali odpowiedzi. Domyślają się jakie spełnią zadanie. Ale dzień dzisiejszy jest dniem spełniającej się tęsknoty i stokroć cenniejszym niż które nadejdą. Żołnierze grupują się koło swoich dowódców, skaczą kilka schodów jak chłopaczki wybiegające ze szkoły w upalne popołudnie. Starzy i młodzi. Kogo wojna zastała na ulicy i w biurze, w cywilu, wyruszył świadomy walki, w mundurze polskim, albo niemieckim kapłanem, oficerem, dezerterskim. Jedni w hełmach niemieckich już zdobycznych, inni w polskich przechowanych w piwnicy pod węglem.

Zawierucha nie ustaje. Antoni chciałby koniecznie rozmówić się z Janem. A tu nie można nawet pomyśleć o wychyleniu się z brzozy. Porucznik Jan jest literatem i przyjacielem Antoniego. Dziś zrealizowały się dyskusje, toczony w zamkniętym pokoju podczas długich miesięcy niewoli. I mimo, że Jan stanowczo się upierał iż więcej przyniesie korzyści narodowi, kiedy stanie przy maszynie drukarskiej i będzie pisał o Polsce przyszłej, tym cudzie wypracowanym polską ręką, teraz nął z nim przy ramieniu, które siłą wydziera co polskie i święte. - Nie uważam się za wybranego - mówił - ale w powstaniu, gdy zginię ta reszta ocalałej inteligencji, co zrobi naród ? Ginać może i polski każdy, tworzyć i porywać nie jest dane każdemu. Jednak nie wierzę w to co mówił, bo na pierwszy znak, przypomniał sobie komendę i stał się jak uczył szeregi młodych Polaków ładować karabin i celować sto w serce. Porucznik Antoni chciałby uścisnąć przyjaciela i rzec jedno słowo - "dziękuję", które wyraża dumę i uczucie.

Zapada ciężka noc, siekana przez zaciętrzewione naszyjniki. Antoni znowu przy oknie. Krzyczy w ulicę, aż pojawia się postać Jana.

- Z zapadnięciem nocy ruszamy !

Jan pokazuje na dziurawioną barykadę.

- A to ?

- Antoni wznosi rękę nad głowę i potrząsa nią. Ma to oznaczać uznanie.

Światłne pociski prują ulicę i giną jak sierpniowe gady.

Antoni dostaje się podwórcami do narożnej kamienicy. Tu

cały plac jak na dłoni. Niestety podejście do któregośkolwiek okna równałoby się śmierci. Po opuszczonych biurach fruwały łaskocząc ściany papiery. Wiatr porywa kilka i wyrzuca na ulicę przez rozbite okna. Spadają jak białe ptaki. Antoni musi wracać na korytarz, bo Niemcy biorą to za tajne znaki do kogos i fastrygują piętro gradem kul. Na dachu, poza parapetem wysokiego gzymsu obsługa jednej z maszyn. Podchorąży i szczeniaki. Doskonale się bawią. Śladem Niemcy nie joba-... czy nie zrobili. Karabin dyszy i podskakuje.

- Co jest z tą podstawą? - denerwuje się podchorążak. Zdażył sobie już na marynarce przyczepić agrafkami patki podchorążackie.

- Czegóż się można dziwić. Przecież to ciary trup. Ale tam, tam... nowiusienkie, prosto od krowy - szczeniak zaciera ręce, aż skłęty że krzywo podaje taśmę, rzuca się ze zdwojoną zarliwością do stalowego strumienia pocisków.

- Żeby mi tu, ani jed n Niemiec nie wychylił dziuba - naka-
zuje Antoni.

- Ma się rozumieć panie poruczniku - podchorąży i szczeniaki spoglądają na siebie i parskają śmiechem. Przecież tego nie potrzeba powtarzać. Jasne, że nie pozwolą. Porucznik zatrzymuje się. Zza krzaków, nad stawem w parku wyczołgują się pokracznie pełzający ludzie. Przy bliższej partii zarosli zastygają na sekundę i znowu pełzną. Antoni chce ostrzec podchorążego, ale ten ma ich na celowniku. Przyklęknął na oba kolana, zmrużył oczy, szczęki mu latają i wali. Antoni myśli, że ta jasna, jesienna noc jest wielkim szczęściem i przekleństwem. Zazdrości temu młodemu człowiekowi karabinu maszynowego tej smarkatej obsługi i celu.

Jeden ze szczeniaków próbuje sprawdzić skuteczność ognia. Zbliża się ostrożnie do brzegu dachu. Nieopatrznie wystawia trochę ciała. Antoni rzuca się do tyłu, bo kilkanaście kul dziurawi prze-... strzeń obok niego, albo obrywa beton z obmurowania. Chłopak, jakby rozradowany podskakuje, rozkłada ręce i jak gołąb spada na ulicę. Drugi błędnie, puszcza taśmę i czołga się do krawędzi. Podchorąży wyje na niego: - Wracaj bajtłoku, bo już kilku uciekło - i nie mogąc dosięgnąć ręką, kopie go w pośladek. - Macie gówniarze zabawę we wojnę, a macie - mruczy i silniej zaciska dlonie na uchwytach. Szczeniak wraca, podaje taśmę i ma żyć w oczach, które spływają jak kule jedna za drugą.

Kilka zielonych, ruszających się pakunków pozostaje na ziemi, reszta zrywa się i pochylając się, niknie w kępach drzew. Tymczasem w bramach od alei przygotowuje się natarcie. Po tamtej stronie bronią się cywile Niemcy. Nie robią szkody, bo strzelają przeważnie z rewolwerów. Tylko dwa karabiny maszynowe na starostwie i na rogu placu kontrolują ulicę.

Antoni zatrzymuje się w jednej z bram.

- Wiecie co macie robić?

- Wszyściutanko.

- Czy wszyscy mają broń?

Starszy żołnierz z opaską z chustki do nosa na ramieniu

odpowiada:

- Nie wszyscy, ale broń się znajdzie. Dwa kroki i jest karabin. - Na plantach leży skarczony żołnierz niemiecki. Upuszczony karabin oparł się lufą o drut ogrodzenia. Trzas go we własny - otaczają porucznika. Trzech młodzieńców w mundurach Baudienstu, ómia zdenerwowani papierosy, troskliwie okrywając karabin. Później stary, może sześćdziesięcioletni woźny z hotelu w okrągłej czapce z napisem, świecą mu się oczy. Jakis wymuskany pan w kolorowym szaliku na szyji dzierży mocno karabin. Para małych brząciców. Potem twarze robotników, zacięte, ostre.

Strzelanina nagle ustaje. Antoni wraca. Przypuszcza, że Niemcy otrzymali posiłki. Daje rozkaz zawojowania ulicy. - Bieże, żebyśmy się tylko nie spóźnili. Zwiera za sobą palce. Już powinien być goniec z dowództwa na ulicy Falszyskiego. Bo jeśli teraz nie oskrzydla równocześnie Niemców, to nawet zdobycie placu nie zmusi ich do opuszczenia zachodnich przedmieść. Gdzieś daleko zaczyna brzęczeć motor, żelazny komar nocy.

Ale dokupuje go stary plutonowy. Jest goniec. Nadbiega podchorążym, utyłtany błotem, przykłada rękę do piersi i nie udaje się wystrząsnąć ani jednego słowa. Wreszcie gdy podniecony porucznik wrzucił nim trąbę, wysyła bizerę z trudem łapiąc oddech: - Nacił pod Oleandrą - a potem wyrzucił ze siebie - biją się o koszarę. Porywa się jak wściekły. Goncy rozpięrzchli się po dowódcach z rozkazem ataku. Gładzi nerwowo włosy. Potem wyjmując z pochwy rewolwer. Robi nim znak krzyża. Chłok stoi drżąc ze zdenerwowania żołnierza z pistoletem rakietowym.

Porucznik Jan odrywa się od okna, siada w fotelu, odwraca boki i się paskiem lornetki. Usiłuje zdobyć tyle czasu aby pomyśleć. Na schodach słychać buty żołnierskie. Za chwilę skończy się to wszystko. Nie wierzy w inną możliwość jak tylko w śmierć. Nie trąży go, ale ma w sobie przekonanie, że dąży się o wiele lat zawczasem. Wteranie sam w przestrzeń przed którą miał długą, jeszcze drogę. Już zapóźno. Już sypie się na nich ten nieważdźalny śnieg, co ich ogarnie rysując grube fałdy ciała. Jan wystawia rękę, przebiega palcami doznaje wrażenia, że płatki przylegają do dłoni. Teraz chce przetrwać zdania jakie wywalał, odbijał zdania które dotykały życia. Już po długim odraucaniu, że wyłaził tu się w tej sytuacji, papierosy i kłasi, unoszoną przez prąd, któremu sam ulega. Mając w sobie przeciwności życia i śmierci noszone od urodzenia, ulegał im wstrząsając siebie nurtowi. - Tak to jest mąska rzecz, chciał powiedzieć - ofiarować się z premedytacją. Wymagają tego od nas - ale bał się usłyszeć własnych słów. tej odpowiedzialności z postanowieniem. Po drugiej stronie ulicy czeka Antoni, to dodaje Janowi odwagi. Śmierć życia jeśli wymieniam za wieczność? Byłoby szaleństwem nieskorzystać. Pełen jest zapachu twórczego. Ma w sobie przekonanie, że pisze najlżejszą powieść. Rozgląda się. Znajduje się w niemieckim mieszkaniu. Na ścianie wisi portret Fūrera. W drzwiach spotyka żołnierza. Odbiera mu kartkę i wsuwa bez czytania do kieszeni. Jest zdecydowany. Skacze po kilka stopni nadół.

Po ulicy toczą kule. Odskakują od powierzchni. Duże krople deszczu. Trzeba przeczekać zainteresowanie nieprzyjaciela tym odcinkiem. Stoi w mrocznej klatce schodowej. Teraz ma dużo czasu do myślenia. Panuje cisza, jakby każdy obliczał w napięciu granice swojej wytrzymałości. W duszną atmosferę ucieka się odgłosy kłej walki. Jan odnosi wrażenie, że ciężar jej spada na niego, że w im poświęceniem odkupuje i przeważa losy zawarte na tym placu. A jednocześnie podskórnie rodzi się żal do tego świata za to, że urodził się w epokę bohaterstwa. Przy obrachunku z talentów, suma zostanie podkreślona czerwono w połowie kolumny. Robi się czarno, głowa zatacza się w spiralach ciemności.

Zbliża się do niego żołnierz. Jan nie wie, że go do brze, ale jest przekonany, że to diabeł. Przywiera do chłodnych ścian. Walka wzrasta, gdzieś wybucha szrapnel. Potężniejsza walka, morderstwa i otchłani, dobra i zła. Głos diatła brzmi przyjemnie, kładzie między nimi elastyczną odległość ciemności.

- Pan z nami? Nie spodziewałem się. Zresztą skąd? Zbyt cenię pana po pańskich książkach, abym mógł przypuszczać. To jest w końcu pańska sprawa. Bijemy się o ideały, o rzeczy słuszne... - Jan podnosi się o parę schodów w górę i trzyma się poręczy. Nieprawda to jest nieprawda co on mówi. To nie jest lekkomyślność, ale obawa przed padaniem. Może za niego przyjdzie tysiąc ludzi zdolniejszych, a on przyczyni się do narosnięcia nowego pokolenia. - myśli pracując na telegraf. Właśnie może jego śmierć będzie pożyteczniejsza, niż na nie dzieła sztuki..

Lecz diabeł robi zaraz wyłom w stawianym murze.

- A co pan pisze obecnie? Spewnością pozostawił pan nie dokończoną powieść. Naprawdę będziemy czekać na dalszy ciąg. I nie sakoda...

Jan zatyka uszy piściami, chce wyrwać się z klątwy. męczyni jednak kroku, ręce opadają. Żal nam, targa, nienapisać słowa układają się składowymi liniami, ludzie, których przetrwali białych arkuszach papieru dopominają się o życie.

- Na nic to, na nic. Podkopyją się pod nas komunisty. W nich pracujemy. Żłobią pod nami tunele, obcypleni się. Zagarną nas.

w mieście, już teraz pracują. Słyszysz?

Jan puszcza poręcz, nie może odpiierać ciosów myślą, milczenie jak czarna tablica po której diabeł pisze kredą. Musi krzyknąć. Głos drży w gęstwie mroku, dociera do serc, zatrzymuje je na moment. Jan spostrzega przed sobą żołnierza. Sięga po kartkę. To jest rozkaz z Głównej Komendy skierowany do niego.

Antoniemu te chwile oczekiwania wydają się jakąś niezmierzoną płaszczyzną, nieobliczalnym oderwaniem się od wymiarów, trwaniem dzięki pewnemu wysiłkowi woli. Ostatkiem sił pokonuje chęć wyrwania się i zagaszenia strumienia kł. Odzywa się z nim ta dziecinna robusliwość walki, nocy nieprzebrane w gorące zbliżających się potyczek. Dać się porwać wirowi boju. Uciec się. Żołnierz za nim, pełni niepokoju, przerzucając z ręki do ręki granaty. Rakietą wysierzona w niebo. Jak to wszystko przeraźliwe długo trwa.

Dopada ich porucznik Jan Korzysta z nagłej cisy i przeskakuje kilkanaście susami ulicę. Antoni łapie go za ramię i mówi, cedząc w oczy przyjaciela:

- Jasiu, idziemy już, idziemy, taki jestem szczęśliwy.

Jan opiera się o mur. Właśnie przyszedł oznajmić mu, że wraca do miasta. Ma obiać miejsce w redakcji "Ziennika". Tam prędzej się przyda aniżeli tu składając życie. Wtedy wypełni się jego komurka, jeśli talent rozkwitnie jak gałąź akacji w słabie pomyślanej dla niego.

Antoni nie rozumie. Chwyta go za rękaw. Marszczy brwi, skupiając myśli.

- Ty, ty opuszczasz stanowisko, w takiej chwili ...

Jan potakuje i rozkłada ręce.

- Zresztą mam powołanie. W Głównej Komendzie mają to samo zdanie. Od nas czego innego żądają. Patrz.... - pokazuje mały arkusz papieru, - a następca mój już jest na stanowisku.

- W takiej chwili Janie...

- Całe życie składa się z chwil. Jedna nieopaczna i traci się wartości nieprzemijalnej, a po drugiej mogą wcześniej komunisci zająć drukarnię. Trzeba bronić wstępu do niej. Tam się też walczy. My nie możemy się krwawić dla komunizmu.

Antoni chwieje się. Wzruszenie pojęcia naprzód z kolegą, z gotowością oddania życia swego za jego życie, tą najprzynity niejszą miłą oznaką przyjaźni, przyszło jak balonik.

Jan szuka usprawiedliwienia na twarzy porucznika. Antoniego znajduje oblicze przejęte ostróżką. Nie ma czasu. Wbiega zasapany młodzieniec w berecie i z koalicyjnym pasem przez ramię.

- Idziemy?

Myśli w głowie Antoniego robią gwałtownego kozła. I znów są na swoim miejscu.

- Najwyższy czas.!

Jan kładzie rękę na barku. Antoni otrząsa się z niej z obrzydzeniem i odrzucając głowę, mówi:

- Tchórz!

Rakietą wspina się wysoko w niebo i zawisa jak błądy kwiał w granatowej toni.

Antoni jest w szeregu. Po ataku wywołują się pojedynczo i wyciągają się pod okapami karabinów. Karabiny maszynowe kładą ogień zaporowy. Wieny domylają się przebiegu akcji. Światła pocisków, rrekoszety, łupki białe, kręcą się w alei, jak liście miotane wiatrem. Od placu są narazie zabezpieczeni. Tam wrogowie wymieniają swoje uczucia pasmami pocisków, ściągających się w pośpiechu dotarcia. Nagle jeden wyłamuje się z szeregu, on przez jezanię i przesadziwszy ogrozdzenie grzęźnie w rozmięklej po deszczu trawie. Połskie karabiny wzmacniają ogień, ale po plantacji zaczyna się przejeżdżać milczący do tej pory karabin ze środka jego domu. Antoni odrywa się od niego. Skoro osiągną drugi chodnik będą bezpieczni. Słyszcy jak biegnący obok chłopak, rzuca karabin na ziemię, waha się zatrzymać nierzad w biegu i z westchnieniem sięga się na ziemię. Czuje, już nie słyszcy, ryk ranionego portiera bo przygląda się kołom ulicy broniącej się od pocisków. Instynktownie pada i przypłaszcza się do ziemi. W małej odległości, z głębokim

hukiem wysypuje się w powietrze kawał trawnika i spada zasypując dzimkami i darnią leżących. Jeszcze kilku zostaje. Antoni nawołuje skoku. Tymczasem przed i po bokach, ziemia zaczyna płasnąć i unosić na wysokość piętra. Niebieskie i różowe kielichy błysków orientują miejscach wybuchów. Jakby ktoś chwycił za niebo położone na kamieniach i trząsk, przymrużywszy oczy z zacięłości.

Antoni uczył strach. Doznaje go poraz drugi. Wtedy podczas kampanii 59 roku, w czasie przepraw przez Bug, Niemcy zaskoczyli go dokładnie na środku rzeki i teraz. Ale w końcu strach jego wewnątrz pospolity przystąpił strach większy - co będzie z natarciem? Wtedy doznał szczęśliwie prowadząc swoich chłopców. A dziś podobnie, na środku ulicy, węższej od rzeki, i na się cofnąć a z nim reszta.

Rój świetlnych kul płynął po chodnikach.

Porucznik Jan skradał się ostrożnie do miasta. Jakkolwiek oddalał się od miejsca walki, to jednak zabrakło pociski przemierzający ulice w nieodgadnionych kierunkach. Poza tym w mieście pozostało jeszcze wielu Niemców pochowanych w mierzaniach, rozpaczliwie brojących swej do niedawna olśniewającej wolności. Trupy ludzkie i skie, wypalone auta, zdemolowane tramwaje i odgłos walki dają tej jaśniejszej, pięknej jak posąg grecki nocy, rzeczywistość miasta, po której przeszedł ciężki czołg wojny.

Przez ulice przebiegają czarne postaci. Jan zabiega jedną drogą. Młoda kobieta przerażona zaczepką, przyciska do piersi torebkę z której wysypują się bandaż. Jan schyla się i skręca powoli białą taśmę i pakuje jej spowrotem do rąk. - Przepraszam panią i mija ją przykładając palce do furazerki. Idzie, coraz mniej ostrożnie, potykając się na zległych ciałach, czuje jakby mu się coś zapadło w piersi i rywało serce w dół.

Z przecznicy wypada oddział ludzi z karabinami. Wchłania ich Karmelicka. Pędzą pochyleni tuż przy murze naprzeciw szczękającej barykady.

Zatrzymuje go lotna patrol wyławiająca Niemców. Patrzą na niego i nic nie mówią. Potem salutują jak oficerowi. Popychają przed sobą skrępowanych jenców. Jan widzi w ich spojrzeniu zdziwienie, które jest przeciwnie.

Noc granitowa kolumna spoczywa na ramionach. Gdzieś w chmurach poza horyzontem zaczął szeptać nocny pacieź samolot.

Porucznik Jan szedł. I z każdym mijanym człowiekiem, działo się co podpieraa rannego żołnierza, gnającym na barykadę tramwajami, kobietami i mężczyznami którzy w tę noc stając się żołnierzem, powtarzał werset, który wyrzekł poraz pierwszy głośno: - Idę bronić drugą karni przed komunistami. Przyspieszał kroku, biegł prawie i dopowiadał - ja nie jestem tchórzem.

Skręca nagle do kościoła, naciąka klamkę. Kościół otwiera jak dłoń. Ogarnia go chłodna ciemność, inkrustowana w nawie gotyckim witrażem. Oliwki płomieni drżą na świecach przed ołtarzem Matki na Jan przykłęka. Na stopniach leży krzyżem białowłosa księżka. Monotonnie z przedmieść wciska się do kościoła jak dźwięk dzwonek z dalekich gór.

Przed barykadą rozpłaszczyl się huk i pocisk nożdzieża rozwał płyty chodnika. Następny, już bliższy wkręcił się w zbite zelazko i wyrzucił w górę las powyginanych prętów, trzy dalsze obskubały rękawicami, odsłaniając czelustwę sklepu. Później cała dziesiątka wybuchła zadźwięczała za barykadą. Wszystko podskakiwało i latało w powietrzu jak stos chrustu, bity uporczywie kijem przez swobodne dziecko. Nie postanowili za wszelką cenę zniszczyć zaporę u wylotu ulicy. Powstali cofnęli się głęboko do bram.

- Teraz puszcza wozy pancerne, padło z ciemności.

- Może czołgi?

- Niech puszcza co chcą, Karmelicka jest już na zawsze na

- Nikt nam nie da rady, dopowiada ktoś z głębi.

Z góry spostrzeżono ruchy niemieckiej piechoty, odrywa się od drzew i znikali w parku. Tam w stawach i w zarosłach mieli

pewniejsze zalony. Silniejszy wstrząs dał znać, że pocisk wybuchł na kamienicy. Zaraz też meldowano, że moździerze zaczynają bić po dachu uniemożliwiając ogień maszynek, dom zaczął drżeć jak dekoracja w prowincjonalnym teatrzyku. Rzeczywiście karabin maszynowy na dachu umilkł wypływając jeszcze kilka ładunków. Moździerz trafił w sam środek obsługi, zrzucając karabin i dwa kominy w pobliżu na jezdnię. Niemcy przebiegli trochę bliżej i otworzyli ogień z cekaemów. Moździerze naraz scichły, zrobiło się nawet przy palbie maszynowej cicho. Tylko z parku polewano narozne domy wrzaskiem kul. Z pomorskiej wyjeżdżają biorąc ostry zakręt, trzy pancerne samochody. Prosto na barykadę, stają przy alei ze zgrzytem hamulców i zaczynają bić z cekaemów po skwerze, który osiągnęli już powstańcy. Wyglądają jak wielkie jeże, szerzące śmierć. W naroznej bramie, kiedy kaprał wiąże przedko granaty.

- Kto ze mną? Drze się, chcąc przytknąć tym krzykiem strach, jaki oplataje człowieka po decyzji. Wylatują we trójkę. Jakimś szczęśliwym trafem nie in nię robi kilkanaście pocisków, co jak stado spłoszonych wróbli smygnęło po bazaltowej nawierzchni. Zachodzą z boku. Jednocześnie z wozów zwraca się w ich kierunku a długa seria przechodzi ich nawylot. Wiazki jednak eksplodują. Dwa auta szarpnięte do tyłu stają i milną. Z podwozia wydostaje się cienkimi pasemkami dym, potem języki ognia smalą grubą blachę. Trzeci wycofuje się gęsto ostrzeliwując.

Kiedy osiągnięto pierwsze bramy przeciwległej strony alei, granaty jak jabłka spadły na polaków. Niektóre udało się kopnąć na plantację, inne wybuchły nieszkodliwie, zdzierając tynk. Kilka osiągnęło skutek. Ludzie jak pajace z tektury rozpadali się na części. Nowi dołączali. Granaty przestały szkodzić w sieniach. Jeszcze tu i ówdzie podskakiwał jak jajko na drodze, albo toczył się długo wzdłuż krawężnika i nagle pękł. Montowano gorączkowo karabin maszynowy na rogu alei, aby teraz całkiem trzymać w szachu piechotę z parku. Równocześnie, opróżniano kamienice z Niemców. Złapanych zabijano jednym wystrzałem, bez słowa pogardy i nienawiści. Mieszkania pootwierane, opuszczone nagle, szedzie walały się rzeczy, wywrócone w panice stoły i krzesła, podeptane ubrania. Ostatnie piętro całe zamknięte. Wyważają drzwi. Korytarz pusty. Cisza, która zapadła po hałasie wywalonych drzwi. Porucznik Antoni wkracza pierwszy. Idzie z przekonaniem, że dzisiaj musi walczyć za dwóch. Zagląda odważnie śmierci pod kask. Jeśli padnie za chwilę, to życie jego będzie ofiarą jego i Jana. - Boże, dodaj mi to wszystko czym on pogardził - prosił przytulając się do ziemi na skwerze.

Repetuje Wisa. Potem jednym uderzeniem nogi otwiera pokój. Nikogo. Wchodzi, za nim żołnierze. Jest w tym wszystkim jakiś ceremoniał skupienia, walki, która się spełnia, oczekiwania własnej śmierci, której się wychodzi po meksku naprzeciw.

Idą pokojami. Ostatnie drzwi rozłamują się dziwnie łatwo. Narozny pokój. Między oknami, do hie białej ściany - człowiek. W tej chwili odbija się przed nimi granat, zaskakuje za dwie strony ścian. Granat wyrwa otwarte drzwi. Muczy długo po pokoju. Spada chybocząca lampa. Antoni decyduje się zaryzykować głowę. Widzi Niemca cudem ocalałego, jak mocuje się z zatrzaśniętym oknem, wręczcie staje na parapecie.

- Halt! - wysuwają się powstańcy.

Niemiec skacze, ale dosięga go jeszcze kula jednego z żołnierzy, bo łamie się w powietrzu i spada. Ten co strzelił, wyjmując chustkę i wycierając głowę nos.

Antoni podbiega do okna. Na dół maszynki już dobrze gra. Teraz widać doskonale Niemców z parku. przykucnęli w grupkach za kamiennymi omurowaniami.

- Nie strzelać. Zdradziło stanowisko! Tu przyjdzie cekaem.

Antoni zostawia ludzi i graca. Kamienice oczyszczone. Aleja jest tym samym w rękach polskich.

Podoficerowie zdobywają pod orce. Nacierają od tyłu na opierających się Niemców.

Opanowują kamienicę po kamienicy.

Antoni zbiera koło siebie żołnierzy. Gromadzi ich w wielkiej klatce schodowej i tłumaczy dalsze działanie. Równocześnie przanihaćatitajbndynpungđstaph, powinny siły polskie z Oleandrów

- Słuchajcie chłopcy - nerwowo poprawia pas - przelecicie się przez plac. To będzie trudne - nikt nie odpowiada, tylko zchodzą uderzając stopką karabinu o kafilową posadzkę. Antoni zdaje sobie sprawę, że spada na niego odpowiedzialność za tych ludzi. Jest spokojny. - Jesteśmy wszyscy narzędziami walki - dodaje sobie tym zdaniem odwagi.

Niemcy dostali reflektor. Struga światła potykając się o nierówności, pełznie po domach i wnika w zaułki. Kilka tysięcy świec oślepia Polaków na chwilę, ale natychmiast karabiny dają mu się weznaki, bo mruga i błednie.

Antoni wie, że następuje ostatni rozdział tej walki. Kto pokoży na nim słowo : koniec. Niemcy mają czołgi i dostarczoną broń przeciwpancerną. Słucha. Artyleria bije w barykadę. Tylko gwałtowne gestapo w ręku powstańców oszambodzi Karmelicką.

A więc.

- Uwaga chłopcy ! - wychodzi naprzód z bramy. Chmury rozciągają się, skłębione nawisami nad sowncem. Na niebie gwiazdy. Tyle gwiazd zechciałoby się zanurzyć w nich palce i ochłodzić zroszone czoła. Przesuwa się, zrocony plecami do ściany. Niebo faluje, gwiazdy lamią wtem jedna leci, przez cały nieboskłon, prosto do oczu i gasnie w zrenicach. - Może to Jan, przypomina mu się stare wierzenie, że z każdą spadającą gwiazdą, świat traci człowieka. Przystanął. Trąca podążający za nim żołnierz. Są u wylotu.

Rozbłyski w strzałów migotliwe drżangi nany, ranią bezustannie przestrzeń. Antoni przełyka ślinę, usiłuje zapaść równo naruszoną otwartym polem, które śmierć dotknęła swym palcem.

I nie dając dojść następnej myśli do świadomości odbiega róg i gna jak szalenię do następnej bramy. Za nim stukają ty żołnierzy. Manewr się udaje. Wszyscy są bezpieczni, bo kule jak ziarenka fasoli pukają przed kamienicą. Śień napęnia się sapaniem. Jeszcze kawałek i na przecznicy trzeba połączyć się z grupą z ul. Lenartowicza. Z tamąd już tam blisko do Pomorskiej. Po schodach co łoskocze ześlizgując się po stopniach. Na półpiętrze granat obala poręcz i długo grzmi echem. Jakieś drzwi zanikają się z trzaskiem jakby porwał je przeciąg. Na górze są Niemcy, żołnierze po sobie zdumieni. Antoni nie może pozwolić na zdobycie domu. Nie ma na to. Spotrząga z daleka, że nieprzyjaciel w parku przycichł, wzięty pod strzał karabinu z rogu alei. Korzysta z tego i porywając za sobą resztę dączy się przed dalej. W ngnieniu oka, opuszczają bramę. Biją po nich pojedynczy Niemcy. Którys zostaje, któryś kuleje i pada na kolano, któryś przytrzymuje hełm, nasunięty na bakier przed kulę. I tak brama po bramie dosięgają ulicy Mienkiewicz.

Antoni ścisną lewe ramię. Krew wypija zieloną blazę. Krew - patrzy na gęste plamy na dłoni. - Janie, pogardziłeś takim pięknem.

Pozali znów. Ludzi ubywało jak ziarenek w starym, służonym różancu. Trzydziestu, dosyć już pokaleczonych, mało w sam środek oświeca. Antoni pokładał jeszcze nadzieję na uderzeniu z flanki. Wyczekiwał pierwszych oznak, jakiegoś ruchu za parkiem. - Spóźniają się, spóźniają, - szeptał mimowoli. Stali za wylotem ul. ru. Granat zabił znowu trzech. Wychudzone policzki, zacisnięte szczęki, potem z jękiem zwała się stary kapral.

- Długo będziecie czekać ? - W pytaniu Antoni wysłuchał oskarżenia. Ci ludzie nie wiedzą, że bez pomocy z Oleandrów są straconi. Bierze karabin zabitego kaprala. W całym swoim zdenerwowaniu ma precyzyjne ruchy, ładuje nowy magazyn. Żołnierze patrzą na niego. Chce każdą najdrobniejszą czynnością odwiec tę chwilę. - Pewnie są, że stchórzył.

Pełna seria lunduje nad niemi obrzucając ich tynkiem i odszczypną cegłą.

- Zapaliłbym papierosa - jakieś myśli tłoczą mu do głowy. rzymyka oczy. Wydaje mu się, że jest w drukarni, która pracuje na wszystkie maszyny. Od stóp ma wrażenie, że stoi na drzewie.

klanej podłodze, drżącej od hurgotu.

Padający żołnierz wytrąca mu karabin z ręki. Nawet nie usłyszał jak granat rozrwał się tuż nad głowami. Pozostali zacinają. Wyglądają jak nędzarze z poszarpanych i zabłoconych ubraniach.

- No i co ? - Jest to niewyrzeczone pytanie, które ro-
bi się w kącikach oczu.

Porucznik Antoni ma teraz jakiś tajemny ciężar na bar-
kach. Ozuje się związany z ziemią jak stalagmit.

Gdzieś za parkiem trąkocze karabin. Później drugi.

Pomiędzy czaszką a skórą ogniste ciecze. Antoni szuka
po twarzach zniemuchomiałych powstańców - czyta : Tchórz, tchórz, tchórz.
Gmach Gestapo - myśli - trzeba skończyć natarcie. I macha ręką.

- Idziemy. Rzucają się jak smagnięci podmuchem.

Tuż przed nimi granaty. Porucznik Antoni, już nie widzi,
jak Niemcy z parku pojedynczo umykają zostawiając rannych. - Gmach
Gestapo, powtarza z twarzą w piasku.

Zapada w noc, zamknięta wokół niego jak kula ozklana.

Gdy przychodzi na chwilę do siebie. Sięga powoli ręką
do i sciera lepki piasek.

Powietrze gnie się od oddalających wystrzałów. - Na-
tarcie ktoś kończy - Patrzy w ciemność i usmiecha się wykrzywiając
wargi.

- Janie ! Nie rozumiałeś. Najpierw trzeba się bić
o Polskę, - przymyka oczy. Liście z parku szeleszczą po asfalcie. - A
później o swoją Polskę !

Noc jak granitowa kolumna. Wznosi się od niego górę.

Z głębi płoną budynki jak świętojańskie ogniska
i kanonada uciek szybko drogą na Łetowice.

W następnych numerach ukażą się wspomnienia
pośmiertne o sp. Józefie Czechowiczu, Józefie
Aleksandrze Gałuszcze, Stanisławie Ignacym
Witkiewicz, zmarłych tragicznie podczas
działań wojennych roku 1939.

